

Antoni Małecki, jako profesor.

Który sieje, słowo sieje... Siewcą słowa był Antoni Małecki, jednym z duchów, które błogosławią ziemi i szepczą na niej plenne kłosy. W zdumienie i rozrzewnienie wprawia ten starzec o zdrowej karnacji twarzy, krzepkich ruchach, niepospolitej teźżynie umysłowej i szanownej postaci, młodzieńczo znoszącej osiem dziesiątków lat, żyjącej *more antiquo*, tradycją wielkich rzeczy i świetnych wspomnień. Klasycznym on jest i przez swoją pogodę i majestat przeszłości i przez oczy, zwrócone na zagasłe słońca i przez westchnienie do tych, co już dawno odeszli. Stoi świetny pomnik, — Cyneynat uwolniony z orki męki codziennej, z męki blasków, zaszczytów, — stoi w ciszy domowej, — odsunięty od wirów i burz, po spełnieniu przeznaczeń doczesnych. I zaprawdę, na nim nie po raz ostatni stwierdza się objaw, — że wieley starcy zachowują do ostatniego tchnienia bujność uczu i bujność rozsądku, — a nadewszystko świeżość wrażeń. Działalność pedagogiczna Małeckiego, — to nie karta osobobniona i wyrwana z książki powszechnej, społecznej ewolucji; owszem to wszystko, co on zrobił, jako nauczyciel, wiąże się z szerokimi wypadkami naszego rozwoju i naszej pracy, wdziera się w ruch kultury i rodzimej wiedzy. W tych czasach, w których on z katedry mówi i mroki rozprasza, łamiąc trudy i żmudy, przedzierając się przez gęstwiny niedowierzań i innowacji, — każdy wykład staje się czynem społecznym, obywatelską cnotą, cichą, choć wielką budową dla swoich. A za to cierpieć musi nieraz gorzko i karmić się piólanami, cofać na przebyty drogę, odbywać ją znowu z trwożną myślą, — że upaść może wśród zawodu i zmarnować dojrziałe owoce i w pióół je rozsypać, jak owe przysłowiove, — z morza smutku, z martwego morza. Szczęściem odnajduje na dnie swej duszy miarę hartu i rozsądku, miarę, umiejącą liczyć zamiany na siły, znieść i przegrąć stawkę drobniejszą, byle znacniejszą wygrać dla pożytku powszechnego, — dla tych idei, którym całe życie poświęcił.

Antoni Małecki rozpoczął zawód pedagogiczny jeszcze w r. 1845-ym, jako nauczyciel gimnazjum katolickiego w Poznaniu. Pięć lat trwała bakalarka w stosunkach dusznych, przeszyconych atmosferą niemiecką, — wśród sztucznie narzuconych rygorów i początków burzy kulturkampfu, który później rdzą wżarł się w organizm społeczeństwa. W samym zakładzie było znośnie, młodzież miała ducha karnego, — grono profesorskie pewne poczucie solidarności. Pośród nielicznej garstki Polaków znajdował się Popliński, autor gramatyki łacińskiej, Małecki pracował ustawicznie i tą pracą bez rozgłosu, ale konsenkwentną zdobywał imię poważne. Pod koniec 1849 roku zaprasza go znakomity profesor filologii uniwersytetu wiedeńskiego, Bonitz, z polecenia ówczesnego ministra wyznań i oświaty, Thuna, na katedrę łaciny i greki w wszechnicy Jagiellońskiej. Był to dzień wyzwolin dla Ma-

łeckiego z dusznych pętów szkoły średniej. — zagwoźdzonej szablonem, wystudzającej w każdym szerszym umyśle ochotę do rozleglejszych zadań i samodzielnych porywów. Do Krakowa przybył świeżo mianowany profesor w okresie fermentu, nowych zarządzeń, przelomu i ostatecznie dokonanej reorganizacji uniwersyteckiej. Na katedrach rozwieliżmożniła się niemieczyzna a z nią apostołowie z Wiednia, z Insbruku, z Pragi, odkomenderowane wielkości, z austriackim bączkiem na czapie. Radowali sytuację Antoni Helcel, Muczkowski, Józef Kremer, Wincenty Pol, Zajszyński, przyrodnik i Birkowski, znakomity chirurg. Ci mieli ręce schowane, — trzeba się było lękać własnego szeptu i duszy nie puszczać przez usta. Grunt sypał się pod nogami, wietrzono na prawo i na lewo, system policyjny kwitnął w najlepsze. Oportunistyczna, mądra i patriotyczna polityka rektora Majera rwała się wobec podejrzeń, szukających w czynie legalnym pozorów, zawichrzeń czy buntów. Na tem tle ponurem, nerwowem, wykoszlawionem i w przymusu przegniłem, odrzyna się w czarnem oświetleniu postać Walewskiego, autora monografii dziejowych z epoki Jana Kazimierza. Czem był, jaką włóół przeszłość za sobą? Wyłonił się z odmętu tych niespokojnych czasów i przewrotów, w których z równie śmiałem czołem stawał niesprawiedliwy obok sprawiedliwego, niegodziwy obok godziwego, dobry obok złego, osłaniając się płaszczem przebytych cierpień i nieskontrolowanych ofiar. Z emigracji paryskiej po 1831 r. wyrzuciła go fala życiowa na bruk wiedeński, gdzie dzień po dniu czekał na pokojach prezydenta ministrów księcia Schwarzenberga z jakimiś raportami. Co on właściwie donosił i jaką misję spełniał, — Bóg raczy wiedzieć... Ale wyniki odświadczenia się i wycierania posadzek premiera przybrały niebawem zupełnie wyraźną formę. Walewski wniósł do krakowskiego senatu akademickiego podanie o wakuującą katedrę historii powszechnej, nie mając za sobą żadnej naukowej przeszłości, żadnego dzieła, żadnej sławy, — prócz... przedpokojowej. Pol i Małecki, wyznaczeni przez wydział filozoficzny do rozpatrzenia i zaopiniowania podań dla ministerstwa, nie wiedzieli, co z fantem tym począć, aby instytucji nie szkodzić. Oparto się na formalności, na tem, że Walewski nie miał doktoratu... Przewleczono rzecz, ale jej nie ubito. W półtora roku po wysłaniu papierów do Wiednia spadł Walewski do Krakowa w charakterze profesora nadzwyczajnego, aby rozpocząć swą czarno-zółtą karierę w praktyce i w teorii historycznej, fabrykowanej od *usum delphini*... Niebawem mściwa jego ręka zaciężyła na opornych... Sposobność się zdarzyła... Podczas przyjęcia cesarza w Krakowie w r. 1851-ym postanowiło kolegium profesorskie na wniosek Helcela wystąpić w togach, aby uniknąć mundurów... Biurokratyczne i wojskowe otoczenie młodego monarchy z gen. Gruenem na czele zawrzało oburzeniem. W sam dzień noworoczny 1852-go r. zawezwano Helcela, Zielonackiego, Małeckiego i Pola do hr. Gołuchowskiego, który im z polecenia władz centralnych wręczył natychmiastową dymisyę. Małecki pojechał wraz z Zielonackim do Wiednia, aby się rozprawić z ministrem Thunem.

Thun przyznawał rację wywodom deputacyi, podrzucił ramionami i rzekł: „i ja mniemałem, że dzieje wam się krzywdą, inaczej jednak postanowiono.“ Małecki słuchał, nie dowierzał własnym uszom i żądał wyjaśnień: „pan wiesz, że i w Rzymie bywały dyktatury — rzekł premier — a w czasie ich trwania milkły inne władze...“ Skończyło się na wyjednanu dla relegowanych profesorów calorocznej pensyi i na epilogu dyrektora policyi krakowskiej Neussera, który nakazał Małeckiemu, jako obco-krajowcowi, w ciągu czterech dni opuścić granice Galicji...

Niebezpieczny człowiek musiał wrócić do Wielkopolski, do zatrudnień profesora gimnazjalnego, znieść degradację i przebywać znowu w ciasnym zakresie szkolarskim, po rozwinięciu skrzydeł do lotu. Krótki czas, przed ponownem objęciem obowiązków nauczycielskich — bawił na wsi, oddychał powietrzem „zbóż pozłocistych“ i zielonej runi. Dla zatarcia smutnych wspomnień chwycił za pióro i stworzył „List żelazny.“ Wicher szumiąc musiał po duszy, którą wytracono brutalnie z jedynej właściwej atmosfery i przygwóźdźno znowu do banalnego szablonu, do świata notesowych cenzur i umysłowego mechanizmu. Stała się jednak rzecz niezwykła. W Wiedniu zmieniło się usposobienie, denuncjatorstwo na odległość nie działało, — wreszcie sam Thun chciał złe naprawić i krzywdę zmazać. Zielonackiego wraz z Małeckim powołano po dwuletniej przerwie na uniwersytet w Insbruku i w ten sposób urzędownie stwierdzono ich niewinność. Pol i Helcel, jako niekontraktowi, lecz krajowi, austriaccy poddani, — nie otrzymali dyspensy. Małecki poszedł na nowe stanowisko, na etap tymczasowy.

Pięć półroczy trwać miało to pasowanie się na obcym gruncie, tęsknota za innym jutrem i drzenie za odzyskaniem atmosfery, która przelewa celowość i świadomość w duszę o użyteczności pracy i o świętości jej przeznaczeń. Los dopomógł Antoniemu Małeckiemu. W spisie wykładów znalazł oryginalną dziś dla nas wzmiankę: „katedra literatury i języka polskiego nie obsadzona z powodu braku odpowiedniego kandydata...“ Tak literatura polska — kopciuszek, — w macoszej marciała doli, ubierana w formę niemiecką, — spychana na szary koniec, tolerowana z łaski, grzebana z zamiłowania. Na wszechnicy lwowskiej reprezentowali ją najpierw Michalewski, gubiący się w gramatyce, później Szlachetowski, rodzaj suplenta pomocniczego, którego pozbyto się po ustawowem trzechleciu. Owa wzmianka w „lektionskatalogu“ była świtem dla Małeckiego, jasną, mleczną drogą na olimp pożądań i uczucia. Dyliżansem włóół się w epoce sielankowych jazd przez trzy dni i dwie noce do Wiednia, celem przedstawienia życzeń Thunowi. Premier, wysłuchawszy młodego profesora, rzekł:

— *Pan gramatyki polskiej nie znasz!...*

— Nikt mi nie zrobił zarzutu, abym pisał niegrammatycznie! — odparł Małecki.

— Czy pan umie po rosyjsku?

— Nie!

— A po czesku?

— Nie!

— A po chorwacku?

— Nie!

Małecki zobowiązał się nauczyć tych języków w ciągu krótkiego czasu, — byle miał zapewnioną katedrę lwowską... Thun zgodził się i odesłał go po wskazówki do słynnego sławisty Miklosicza, profesora wiedeńskiej wszechnicy. Miklosicz uśmieł się serdecznie z relacji o wymaganiach premiera. W gruncie rzeczy chodziło o język starosłowiański — o znajomość dziecinnych lat polszczyzny, „gdy tkwiła w powijakach, nieoderwana od drzewa innych pokrewnych plemion... W tym przymusie, narzuconym Małeckiemu, były narodziny przyszłego autora gramatyki naszej i reformatora lingwistyki. Ojcem chrzestnym pomnikowej pracy stał się prezydent ministrów — Thun! Ot, jakoś się dziwnie plecie... jak mówił stary Kochanowski. Z biblioteką wracał Małecki do Insbruku, aby rozpocząć studenckie „obkuwanie...“ Oddalony od świata słowiańskiego, nie mający wyobrażenia o dawnych słowiańskich alfabetach, kiedy ujrzał w książkach z Wiednia przywiezionych, teksty zapelnione piśmem sobie zupełnie niezrozumiałem, zwątpił w pierwszych chwilach o możności dotrzymania obietnicy Thunowi. Po kilku dniach jednak wszelakich prób udało mu się za pomocą porównywania wyrazu z wyrazem odeflować alfabet; po kwartale był już tak znakomicie obeznanym z przedmiotem, że Miklosicz uznał go zupełnie za przygotowanego do objęcia katedry. Jestto zresztą zjawiskiem zupełnie zrozumiałem u wybitnych lingwistów. Dość przypomnieć kardynała Mezzofantiego, który w ciągu tygodnia nauki doskonale rozumiał a nawet władał językiem polskim... Bo wieley filologowie podobni są do wielkich muzyków... Skrzypkowi nie trudno zapanować nad fortepianem, pianiście nad waltornią... W zimowym kursie 1856-go r. rozpoczął Małecki na uniwersytecie wykłady i to na własne ryzyko po polsku, korzystając z przypadku, że w nominacji nie podano języka wykładowego. Nikt nie reagował, *fait accompli* szczęśliwie się udało... Kurs Małeckiego stale obejmował pięć półroczy, a mianowicie: epoka średniowieczna, do XVI-go w., — złota era Zygmunta, — makaroniczna, — Stanisławowska, — romantyczna do 1863-go r. — Ten podział pozostawił Małecki już do końca swej profesorskiej działalności, a przejął go niewolniczo uczeń jego, autor znanej podręcznikowej literatury, Adam Kuliczkowski.

Stara, koszarowa, bezstylowa „buja uniwersytecka“ przy ulicy Św. Mikołaja załadniała się w czasie prelekcji Małeckiego; w zatęchłe mury szło świeże powietrze, szły duchy Kochanowskich, Janickich, Miaskowskich, Morstinów, Drużbackiej i romantycznej plejady, szły dźwięki z nad Wisły i od Kruszwicy i Bóg wie żąd. Nowe drgnienia, — nowe słowa siadały na pieśni, — na kursach narzuconej germanizacji i budziły nieznanne uczucia i tęsknicę. Stało się wielkie zdarzenie, — zapal róż, rozpierał się, — audytoryum nie mogło pomieścić ciekawych. Uczniowie gimnazyjni, szersza publiczność, przejezdni spieszyli do sali, staczając walkę o miejsca. Był to mimowolny odruch, nasylenie się wolne po latach głodu, — widome uznanie spełnionej potrzeby. Niemiecy koledzy Małeckiego zazdrosnem patrzeli okiem na tę dziwną, pełną zapachu frekwencyę i przypisywali ją

propagandzie „różnych fantazyi...“ Co oni przez fantazyę rozumieli? Naturalnie akcją, wybiegającą poza naukę, poza przedmiot. Zaczęło się znowu węszenie, straszaki, podburzanie, szukanie czegoś, czego nie było i wyznajowanie niepopelnionych przewinień. Sprawa poszła w górę, — Małeckiego zacytowano do namiestnika Mensdorfa. Wielkorządca Galicji był żółciowcem o cezaryjskim usposobieniu: myślał urzędowemi kawalkami, — mówił szorstkością, — wykluczając opozycyę. Zbrodnia zresztą należała do ciężkich... Ot, Małecki zaznaczył, — że Brodzińskiego traktowano różgą za niechęć uczenia się katechizmu po niemiecku... Legalisci uniwersyteccy upatrzyli w tem pogardę dla literatury niemieckiej i podburzenie przeciw panującemu językowi. Małecki protestował, zastrzegł się przed podobną egzegezą, wyraził w końcu zdumienie, — że paszkwilowe pogłoski znajdują posłuch. Mensdorf miał na poczekaniu opryskliwą odpowiedź: „uważaj pan tak sprawę, jakbym nie powiedział...“ Takie były czasy, tacy ludzie i takie stosunki! Małecki mimo to wytrwał, choć mgr. Wielopolski ofiarował mu w 1862-im r. posadę profesora szkoły głównej, akademii duchownej.

Epokę zainaugurował Małecki na uniwersytecie — podobnie jak w literaturze — przystąpiwszy w letnim półroczu 1861-go r. do wykładów o Słowackim na podstawie nowych, przypadkowo odkrytych materyałów, które pod porporcami najświetniejszego tryumfu wprowadziły ducha genialnego Juliusza na szczyty polskiego Parnasu. Twórca Beniowskiego tak mało był znany podówczas, tak nie nie wiadano nawet o jego życiu, — że dziś aż upokorzenie i mróz przez ciało przechodzi, — a wstyd wypieka twarz, wspominając o tej ignorancji, obojętności i braku odczucia dla wielkiej rzeczy. Trzymał się myt, że Juliusz mieszkał w ziemi świętej długo i tam marniał bez końca. Od przyjaciela, Karola Szajnochy, wziął Małecki w podarku fascykul listów Słowackiego, które dla znakomitego historyka kazała w dowód sympatyj przepisać pani Becu, — matka Juliusza, zmarła na cholereę we Lwowie, w 1855-ym r.... Spadła z mroków opona, nowe zeszyły świty. Brat pani Becu, Teofil Januszewski, właściciel Ubienia, około Dublan, dostarczył mnóstwa rękopisów, całą spuściznę po tym, co zgodził się mieć „nieplakaną trumnę.“ Małecki wniósł na katedrę objawienie o trzecim z wielkiej trójcy i równocześnie przystąpił do wydawnictwa tych części spadku, które uważał za dojrzałe do druku... Potem dr. Henryk Biegeleisen wglądął do depozytu Małeckiego, deponowanego w Ossolineum i wydał nieaprobowane przez Małeckiego rękopisy. Niestety, w letnim kursie 1873-go r. po raz ostatni słyszano głos znakomitego profesora z katedry. Po siedemnastu latach pracy uniwersyteckiej, — a wogóle 28 spędzonych na nauczycielstwie w pełni sił, 52-letni człowiek usunął się dobrowolnie, przelamawszy ciężkie grudy, utorowawszy drogę innym, aby mózż w zaciszu domowem oddać się zupełnie produkcji, — odrzucić balast obowiązkowych zajęć, — odwodzących zawsze umysł od ideowych kierunków i wpływających mniej lub więcej szkodliwie na rodzaj i ilość twórczości. Profesura uniwersytecka nie jest drogą zaslaną różami, dla czło-

wieka, idącego z postępem wiedzy, nie zwijającego skrzydeł i nie strzępiącego ich na formułach przebrzmiałych. To ostatecznie ciągle uczenie i nauczanie się, — pochłaniające mnóstwo czasu i ofiar zdrowia, cierpliwości i serca... A Małecki miał jeszcze przed sobą rój myśli i pragnień, rój rozmaitych marzeń... Pod wieczór życia chciał zwrócić się do przeszłości, do grobów, do niezmaconej ciszy umarłych, w królestwo historii, w królestwo sądów nad tymi, co przeszli i niezyci ambicyi, ani drażliwości nie kłóć... Zaprawdę może za ewangeliją powtórzyć: „który sieje, słowo sieje.“

Ernest Luniński.

